№ 1. Warszawa, dnia 21 Grudnia / 2 Stycznia 1871/2 r. Rok I. — Tom I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartal. flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

PRACA.

Zaprzeczyć nie można, iż od niejakiego a bardzo niedawnego czasu objawia się w kraju naszym poważniejszy kierunek życia; powiadamy — poważniejszy — nie zaś poważny, gdyż od zupełnéj powagi bardzo jeszcze dalecy jesteśmy. Wszelka łatwość rozmiękcza, wszelki trud hartuje. Jak dziecko, w niemowlęctwie doznające subtelnéj troskliwości rodziców i wychowawców, którzy mu następnie wszystkie przeszkody z pod nóg usuwają, ażeby zdrowia jego nie narazić, od wypadku zabezpieczyć, ułatwić dostanie wszelkich środków do spełnienia celów ze stosunku ze społeczeństwem wynikłych;— jak dziecko tak wychowane, niedołężnieje z latami i powstały zeń człowiek staje odurzony i bezbronny przy pierwszém natarciu przeciwności, których zań odeprzeć nie może zmartwiała już ręka opiekunów;—tak samo i człowiek zbiorowy pod opieką dogodnych, choć równie jak i pojedynczy rodzice, nieprzezornych instytucyj, żyje w małoletności moralnéj, i zapóźno czasami spostrzega się, gdy go wypadki wygodnéj pozbawią schrony. W walce z nowemi warunkami i okolicznościami słabszy ulegnie i zginie, mocniejszy zdobędzie zapas sił nowych, i nowe rozpoczynając życie, może dojść jeszcze do korzystnych jego rezultatów. — Urządzenie sobie życia o ile możności bez trudu i kłopotu jest dewizą umysłów leniwych: cóż dopiero gdy jeszcze okoliczności temu czasowo sprzyjają! A wtedy iści się na nich bajka Krasickiego: *miłe złego początki....*

Kiedy wszystkie drogi któremi praca publiczna przebiega, siły kraju wzmagając, leżały bezludne i chwastem zarosłe; kiedy edukacya domowa, przemysł, rękodzielnie, handel i inne ogniska życia przedstawiały największe widoki powodzenia i zobowiązywały w imię powszechnego pożytku; — wtedy przejść przez gimnazyum, zapisać się na applikacyę do jakiego biura, w lat kilka zyskać jaki etacik, — było ideałem każdego młodego człowieka, nie liczącego na majątek dziedziczny. Karyera to wprawdzie niewielka a postęp w niéj bardzo problematyczny, lecz nie wysusza głowy, nie wprowadza w labirynt trudów, pod któremi uginają się spotniałe i rozpalone czoła bojowników samodzielnych. — Odsiedzieć swoje sześć godzin w biurze, a ośmnaście na dobę używać błogiego wczasu i mieć przytém jaki taki byt zapewniony z emerytura do śmierci, toż to nieposzlita zachęta dla pieszczochów. Albo, co lepsza, ten komu dobry humor Plutusa złożył w kolebkę dowód faworów, — ten, zyskawszy już to do czego inni latami trudów nie dochodzą, miałżeby łamać rozmiękczoną myśl nad wytwarzaniem nowych źródeł potęgi? On ma niezależność i dwadzieścia cztery godzin wolnego czasu na dobę, który może zużyć najprzyjemniéj, dzięki tym małym skrawkom, jakie co półrocze odrywają się od papierów publicznych.... Nie mnożymy cytat wygodnego i nieuciążliwego życia.

Wolno jest każdemu, ani słowa, urządzać je podług siebie, jak chce, jak może; ale wolno jest także wypadkom iść biegiem własnym i nieprzewidzianym, które bierną funkcyę uczynić mogą niepotrzebną a papierom publicznym odejmą wartość. Cóż się wtedy staje z człowiekiem? Człowiek ten, jak tonący a nie umiejący pływać, wyda okrzyk trwogi, rzuci się kilka razy na powierzchni i skryje bezpowrotnie w nurtach wieczności, chyba że go w porę pochwyci ręka dobroczynności publicznéj. Dla czego ten człowiek zginął? Dla tego, poprostu, że nic nie znaczył sam przez się, że miał znaczenie czysto *objektywne*, że całą swą wartość czerpał tylko z przedmiotu zewnętrznego, leżącego poza nim, z którym się nie zlał w jedność, lecz do którego przyczepionym był obcą nitką; wisiał więc póty póki ona trwała: urwała się i on stracił grunt pod sobą.

Wypadki jednak są tylko wypadkami, a więc zjawiskami rzadkiemi, i nie chodzi nam tu wcale o wydawanie jakichś moralnych przestrog. Ze względu na społeczność, ważną jest tylko ostatnia konkluzya poprzedniego ustępu. Wyobraźmy sobie całe społeczeństwo ludzi w ten sposób tylko zawieszonych u pewnych przedmiotów, jak pasożyty u roślin, — jaki też byłby stan i jaka przyszłość takiego społeczeństwa? Oczywiście stałoby się z niém toż samo co z ogrodem, w którym wszystkie rośliny oczepione są takiemi pasożytami. Zrazu roślinie starczy sił na utrzymanie i siebie i pasożyta; ten rośnie na niéj i potężnieje do czasu; nieoderwany przypadkiem lub usilnością, wysysa z niéj wszystkie soki i ginie z nią razem. Wtedy ogród staje się pustką, a na grunt jego opustoszały, wiatr nanosi inne nasiona, te kiełkują, rozrastają się i nie ma śladu po dawnéj przeszłości.

Co może zabezpieczyć społeczność od podobnéj doli? Nic innego tylko jak największa ilość jednostek produkcyjnych, czyli mających wartość i znaczenie same przez się, a przymiot ten w życiu realizujących. Spojrzyjmy na dwóch ludzi pojedynczych, z których jeden u wstępu do życia przychodzi do pewnéj potęgi materyalnéj, mogącéj mu służyć za podstawę do dalszego działania, lecz pozostaje biernym, żyjąc nie z produkcyi własnéj, lecz tylko z téj, jaką mu jego posiadłość zapewnia: drugi zaś, nie posiada nic, ale wprawia w ruch i rozwija z dostatecznym taktem siły swe żywotne w kierunku znaczenia osobistego. Wtedy, pomimo ogromnéj różnicy punktu wyjścia, stopniowo różnica ta zaciera się, następuje coraz większa równowaga siły zewnętrznéj; aż, gdy ten obustronny stan rzeczy bez zmiany przetrwa nietylko jedno życie, ale życie kilku pokoleń, wyraza się nie tylko równowaga, ale i przewaga znaczenia, wpływu, potęgi, tam gdzie punkt wyjścia

na zewnątrz przedstawiał tylko zero. Jak pomiędzy pojedynczymi ludźmi i rodami, taką samą analogię spotyka się wśród danych społeczeństw. Gdziekolwiek zajdzie zaniedbanie w poszukiwaniu osobistéj wartości i znaczenia pojedynczych członków, tam uchybienie to natychmiast odbija się na całém ciele społeczném, tam wkradają się żywioły zastoju, znikczemnienia, rozkładu, śmierci.

Powiadają, że ażeby społeczność utrzymać przy życiu, potrzebną jest praca. Przeciw temu ani słowa. Lecz i praca nie może być tak ogólnikowo jak postulat stawioną, ale musi być uwarunkowaną. Można się dużo napracować a nic nie zrobić, tak jak można się nachodzić do zmęczenia a nie wyjść po za punkt, z którego się wyszło. Można wreszcie marnować pracę nie tylko fałszywym lub bezpożytecznym wyborem przedmiotu, ale złém skierowaniem zdolności lub niedostateczném ich przyłożeniem. Zadanie pracy wtedy tylko trafném jest i cel téj dźwigni osiągającém, gdy dąży do zdobycia postępu. Nie mówimy tu już o absolutnych próżniakach, którzy wszędzie są plagą społeczeństw i ciążą na nich jak liszaje na ciele; ale jeżeli człowiek usposobiony z natury do tego, iżby otwierał nowe drogi dla przemysłu i handlu, wydobywał nowe siły z przyrody, lub pisał dzieła historyczne, przez zamiłowanie w wygodzie i lekkim chlebie zostanie braciszkiem klasztornym lub archiwistą powiatowym, czyż praca jego, choćby ją najsumienniéj wykonał, odpowie potrzebie społecznéj? czy cofnięcie się pewnéj summy takich indywiduów nie sprowadzi w końcu zacofania się i stagnacyi? Ażeby społeczeństwo miało się dobrze ze swych pracowników, potrzeba doń zastosować pracę w takim stopniu i mierze, w jakim rozpustny dyablik Gabryeli w „Pogance" stosuje rozkosz do życia: „póki jedna pozostanie niedopita kropla w dzbanie,"... póty, powiadamy, człowiek nie wywiązał się z pracy względem społeczeństwa.

Praca powinna być produkcyjną; wszelka inna jest albo próżnym zachodem, albo czczą igraszką,— albo i krzywdą, jeśli zmierza ku złym i deprawacyjnym celom. Szynkarze wódek i fabrykanci literaccy rozmaitych *Tajemnic* dworów hiszpańskich i francuzkich, autorowie paszkwilów osobistych, pracują okrutnie, ale niechaj im Bóg ich pracy nie pamięta. Lecz żeby praca mogła być produkcyjną, potrzeba przedewszystkiém ażeby produkcyjnym był człowiek, to jest żeby wyrobił w sobie zdolność produkcyi i posunął ją do stopnia możliwego.

Produkcyjność jest wyrażeniem ekonomiczném, a nie na tém miejscu i nie w téj chwili będziemy je rozszczególniać. Wyrażenie to zawiera w sobie pewne wyobrażenie twórczości, jeden z jéj odcieni. Twórczym, w ścisłém znaczeniu, jest tylko geniusz. Daj Boże jak najwięcéj geniuszów, ale nie na nich jedynie społeczeństwo stoi, nikt na nich rachować nie może, bo genijusz jest rzeczą przypadku natury, fantazyą która niewiadomo kiedy i gdzie się objawi. Społeczeństwo liczyć może jedynie i z pewnością na ludzi zwyczajnych, na massy, które także mają swój geniusz zbiorowy, a ten wydać *musi* produkcyę swą byle indywidua go w sobie nie zaparły. Jakichże to widzimy geniuszów w tém społeczeństwie siedzącém od wieków w błotnistych rozdołach (hohlländer), które wybryki morza po sobie zostawiły? Ta garstka Flamandów, umieszczona w najniekorzystniejszych warunkach życia, stracona na krańcach świata, niegdyś nieidąca nawet w rachubę u możnych, zawstydza ludy najświetniéj uposażone. Ziemia ich, to ogród; obyczajem, statek; umysł wydaje arcydzieła równoważące produkcye szczęśliwéj Italii; dostatek materyalny nad potrzebę... że o innych powodzeniach i pomyślnościach zamilczam. O! tam z pewnością utrzymywać można że każdy zosobna zrobił co do niego należało, że każdy z przekonania i z intuicyi spełnił to, o co swym dwuwierszem tak dawno a tak daremnie na nas wołał Kazimierz z Królowki. Nie, powtarzamy, — nie na geniuszach świat stoi — ale na ciągłéj a serdecznie odbywanéj praktyce tych drobnych cnot i obowiązków, które są w zakresie każdego.

W tém to znaczeniu każdy uzdolniony produkcyjnym być może, uzdolniony według téj miary, do jakiéj z natury i okoliczności dojść mógł i był powinien. Zaniedbanie uzdolnienia się równą jest winą przed obliczem ogółu, jak, po uzdolnieniu odpowiedniém, zaniedbanie się w pracy. Od robotnika ręcznego do najsubtelniejszego filozofa lub statysty, wszyscy na swych posterunkach potrzebni są i pożyteczni, wszyscy albo podtrzymują machinę społeczną, albo ją posuwają naprzód, byle cel pracy szlachetnym był a miara sił i uzdolnień należycie wyczerpaną i dobrze pokierowaną. Gdy każdy silnie stoi na swym posterunku przy téj wrzącéj czynności, jaką nadaje zdrowie, myśl otuchy pełna i pewność dobrych rezultatów, wtedy lata znaczą się znakomitym przyrostem zasobów materyalnych i intellektualnych, społeczność daleko za sobą pozostawia leniwe i ospałe,— staje się niespożytą i nieśmiertelną. Ginie się wprawdzie czasami na tych posterunkach, ale to darmo; praca jest walką... Praca jest to warunek nieodzowny, konieczny; wszystkie teoryje sentymentalne fałszem są. Można być uczciwym, nie pracując,—prawda; praca jest tylko warunkiem życia i postępu, uczciwość przymiotem wyłączającym podstęp i samolubstwo. Alež ten uczciwy człowiek pojedynczy czy zbiorowy, jeśli się należycie nie uzbroi w warunki życia, w obec silnych i dzielnych niebawem straci swą indywidualną samodzielność, stanie się służalcem lub łupem, a w najlepszym razie oblizywać będzie kości rzucone mu z protekcyonalnego stołu. Nie improwizujemy tu teoryi, są to fakta.

Dobrą jest praca, kiedy zdoła przynajmniéj utrzymać raz osiągnięte pożytki, ale niedostateczną; ona musi mieć na względzie postęp, a to dla tego, że sama tylko konserwacya na jednym punkcie, gdy postęp odbywa się na drugim, już jest zacofaniem i słabością. Jeżeli w jedném miejscu człowiek mozolnie schyla się nad ciężarem, o którym nie wie jeszcze czy go dźwignie, a w drugiém tenże sam ciężar porywa machina i rzuca na wskazane miejsce; jeżeli tu mozolą głowy nad wyuczeniem się czegoś, co gdzieindziéj ułatwiające metody uprzystępniają w lot; — tam przewaga i podrzędność są niewątpliwemi. Ztąd też koniecznem stało się przyswajanie dobrze zrozumianego postępu, na którym polega oszczędność sił i przedłużenie życia. Ileżby to go przybyło wszystkim np. piszącym, przez upowszechnienie i do właściwych wypadków zastosowanie stenografii; i ile go rzeczywiście przybywa tam gdzie sztuka ta jest upowszechnioną! Tylko ospałość i lenistwo wstrzymują środek, który skracając ślęczenie mechaniczne, tyle czasu oddawałby na posługę czynnościom intellektualnym lub potrzebnemu dla sił fizycznych spoczynkowi; a jednocześnie jakaż ten jeden, niby drobny szczegół przewagę zapewnia władającym nim nad tymi, dla których jest jeszcze apokalipsą! Cóż to dopiero mówić o całych systematach pedagogicznych i elementarnych, o całych metodach w różnych gałęziach czynności ludzkich!

Lecz i samo przyswajanie postępu jeszcze nie zamyka szeregu warunków pracy; potrzeba, ażeby postęp wyrabiał się na miejscu. W każdym bo-
wiem razie, lubo wszelki objaw postępu nie może
dziś na długo zostać tajemnicą, ten wszelako kto
pierwszym jest w pomyśle, ma słusznie i pierw-
szeństwo w korzyściach; a przytém w cóżby się
to obróciła ta energia ducha, tak do pomyślnego
życia potrzebna, gdyby ktoś z góry założył so-
bie — pracować wprawdzie, ale nie starać się sam
o udoskonalenia, tylko czekać aż mu przyjdą zkąd-
inąd? Człowiek taki samby się własną ręką zapi-
sywał w wieczyste księgi małoletności i oddawał
w protekcyę, za którą służebnictwo jest tylko
kwestyą czasu. Tam tylko jest istotne życie
i dzielność, gdzie duch postępu ma swój tron; ztam-
tąd rzuca on na świat królewskie rozkazy i wszy-
stko się do nich stosować musi lub skarłowacieć
i poddać się. Ten duch postępu nie zasiada byle
gdzie, nie wpośród niedołężnych i bezczynnych
założy on sobie stolicę, nie z Cytery ani Paphosu
da o sobie wiedzieć. Ma on miejsca uprzywile-
jowane , gdzie ciągła praca myśli uprząta mu dro-
gi, gdzie ścieżki, po których ma stąpać, usypywane
są kwiatami sztuki, wyłożone owocami rozumu,
gdzie kapłani pracy okryci w szaty zasług i talen-
tów wymodlili sobie jego przybycie. Newton
i Humboldt, Rafael i Mozart nie spadną na pusty-
nię niespodzianie, jak meteory, ani wzrosną na
nieuprawnym gruncie. Ale, o ile konserwacya
jest prawem wyjątkowo tylko niemożliwém, o ty-
le postęp, przyznać trzeba, nie od nas samych za-
leży. Tu i natura i okoliczności ważną odgrywa-
ją rolę, nierównie ważniejszą niż we wszystkich
powyższych położeniach, w których także z nie-
mi rachować się trzeba. Lecz wydarzenia natu-
ry i losu w niczém nie zmieniają zasady, bo są
właśnie wydarzeniami, trafem, zmiennością; tym-
czasem zasada, jak widzimy, stoi niewzruszona.
Fais ce que tu dois, advienne que pourra, — powia-
da francuzkie przysłowie, najmądrzejsze ze wszy-
stkich jakie naród ten wymyślił; a nietylko Fran-
cuz, lecz każdy inny śmiertelnik wtedy tylko mo
że prawdziwie usnąć snem sprawiedliwego, kied
po uczynionym obrachunku na doczesność i
wieczność, pewnym jest w głębi swych przekonań,
że się do tego przysłowia zastosował.

Ale czy wielu jest takich, coby podobnym snem
usypiali?... Trudności, powiadają — trudności;
i dalejże ręce za pas, i zasiadają bezczynnie jak
żydzi przed karczmą, czekając aż kto do niéj za-
jedzie. Trudności są albo rzeczywiste albo uro-
jone. Wytwarzać trudności urojone i pod to wid-
mo podszywać opieszałość własną i drugich nie-
mi odstraszać, ciężki to grzech na sumieniu. Tru-
dności rzeczywiste nie wyłączają usiłowań: trze-
ba się z niemi mierzyć spokojnie, z powagą, z zi-
mną krwią i taktem, a gdyby owocem tych usi-
łowań nie było nic innego tylko utrzymywanie
sił w ciągłym ruchu i przytomności, już nie były-
by one straconemi. Jest to ostatnia i najmniej-
sza korzyść, jakiéj po spełnieniu téj nieodzownéj
konieczności społecznéj oczekiwać można, wów-
czas gdy droga *per angusta* prowadzi.

RYSUNEK GROTTGERA „NA CHÓRZE."

Właściwością talentu kompozytorskiego Grott-gera było, iż w pomysłach swoich obejmowa[ł] zwykle pewne cykle moralne; do takiego cykl[u] który miał mieć za przedmiot wychowanie mło-dego chłopca, należy obecny rysunek. Myśl w ni[m] jasna: wychowanie rozpocząć się powinno o[d] chwały bożéj.

---

* *
*

Na łonie purpurowém róż,
Na smutnym kalinowym krzewie,
Jak łzy czarnego widma burz,
Wylane w rozpaczliwym gniewie,
Skropliła się deszczowa rosa...

Przegrzmiały groźby chmur do końca...
Wypogodziły się niebiosa—
I świat uśmiechnął się do słońca,
Promienny, młody...
I koralowych gron jagody
Czerwienią krwi spłonęły;
Barwami tęczy drgnęły
Kropelki wody.

Porannym oświecone brzaskiem
Drobniutkie kropeleczki płoną,
Swawoląc zmiennym blaskiem,
Jak dyamenty nad koroną....
Lecz słońce wschodzi wyżéj—wyżéj...
Drobnieją krople chyżéj—chyżéj....

Poezyo! nie twojeżto są losy?...
Dla prawdy słońca jesteś kroplą rosy...
Na chwilę Bóg w natchnieniu twém za-
[świeci,
W pomysłach twych tysiące barw roznieci;
Lecz Wiedza, rosnąc na ludzkości niebie,
Zabija ciebie.

L. Sowiński.

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Spojrzawszy po dzisiejszym świecie jak on sobie szary, mdły, jednostajny i wystygły wygląda—a porównawszy do owego bujnego żywota dni przeszłych, tak pstrego, kraśnego, zawiesistego i wrażliwego — nam starym aż się chce westchnąć, że te ludziska skarłowacieli tak i zamarzli. Miły Boże! co się to działo, co się to działo za onych czasów, o których nam dziadowie rozpowiadali!! Nie powiem, żeby tam wszystko było lepiéj, ani utrzymuję, żeby dziś miało gorzéj być—ale dalipan — było inaczéj! o! inaczéj! Człek żył i czuł, że żył, bo się i sparzył nieraz, i kresę po łbie oberwał, i zawrzało w nim i zakipiało, i rozsierdził się — ale kiedy potém ściskał a całował, to aż kości trzeszczały. Mężczyzni i kobiety, byliśmy wszyscy jakoś mężniejsi w życiu i gorętsi. „Smakował nam światek,“ jak mówi o Reju Trzecieski. Pościliśmy o chlebie i wodzie, ale pili konwiami; rąbało się na śmierć, a kochało do zdechu. Wszystko to dziś blade, mizerne, kaszlące, chorowite, ani kocha, ani nienawidzi—ledwie dysze i tylko co żyje...

Tego z was nikt nie pamięta, ani może o tém słyszał, co się jeszcze za Augusta II trafiło panu Zygmuntowi Piętce; a ja wam to opowiem, żebyście mieli jaką taką próbkę życia, które się wówczas plotło prawie wszędzie, i poznali jaki to był wigor u nas nietylko w mężczyznach, ale i w niewiastach. — Ale muszę zacząć *ab ovo*, i powiedzieć najprzód o rodzinie i gnieździe.

Wiadomo, że dom Piętków Oczkowiczów pochodził z Drohickiego—ale, jak to szlachta uboższa, ba nawet i średnich fortun ludzie nigdy długo miejsca nie zagrzeli, a młodzież się rozłaziła po kraju szczęścia szukając, i potém żeniła, osiadała i krzewiła po różnych ziemiach — tak i owi Piętkowie, którzy się pieczętowali Slepowronem, gdy się rozrodzili, mało ich gdzie nie było. Herb zatrzymawszy jeden, bo w ostatnich czasach już, jak dawniéj, klejnotów nie przerabiano — pisali się Piętkowie rozmaicie od wsi i folwarków, które posiadali; — Piętka Zygmunt o którym mówić mam, rodził się ze Strumiłówny herbu Dąbrowa, ojciec jego a podobno dziad osiadł w Krakowskiém, nabywszy tam wioskę zamieszkał i był pono łowczym, bo syna łowczycem nazywano, dopóki starostwa małego nie dostawszy i tytułu z nim nie nabył.

Otóż to wiedzieć należy, iż rodem kury czubate—o czém się każdy co żył przekonać może. Czy się to dzieje krwi dziedzictwem, czy przykładem a obyczajem domowym — pewna, że nie daleko pada jabłko od jabłoni i sowa nie urodzi sokoła. Gadajcie sobie co chcecie, jaki ojciec taki syn, rzadko inaczéj. Powiecie mi, że rozrzutnym się skąpcy rodzą, a sknery mają synów marnotrawnych — prawda to, ale jedna umysłu i temperamentu krewkość zbytnia stwarza i onych sknerów i rozrzutników! — Były familie ciemięgów i rody zuchwałe... u innych krew wrząca szła z ojca na syna.

Piętków Ślepowronów cały ród znany był że jeden w drugiego rosły u nich szalone pałki. Jak są konie, co się dopiero w siódmym roku składają, tak owi Piętkowie dopiero pod czwarty krzyżyk zaczynali się moderować i stawać ludźmi poważnymi. I potém byli z nich tacy zacni i uczciwi obywatele i do tańca i do różańca, że lepszych nie znaleźć — ale zamłodu... nie było łańcucha, na którymbyś ich utrzymał. Opowiadano o ich wybrykach dziwy: — jeden zbiegł na Sicz i tam kilka lat kozaczył; drugi o kilku talarach z domu uszedłszy, całą Europę przewędrował i z dobrze nabitym trzosem do domu powrócił; inny na pal wbity w Konstantynopolu mizernie życie skończył. Gdzie ich nie było! i po klasztorach i po obozach, a najwięcéj gdzie się bito, pito i cholewy smalono; bo do tego nie było nad nich przedniejszych. Rzekłbyś, że ich dom to piekło za młodu, że doma usiedzieć nie mogli jednego dnia; héj! zabrakło konia i siodła w stajni, a panicza w domu, ojciec się tylko podrapał po łysinie, wiedział on co to miało znaczyć—furknął ptaszek, a jak furknął, wabić go i łapać i nawoływać darmo było—musiał chłopak się swobodnie wyszumieć — powracali do domu różnie, jedni obcięci i nadzy jak marnotrawni synowie, drudzy w sajetach i rzędach złocistych — bo szczęście różnie służyło: rzadko który bez kresy przez łeb.

Który ojciec rozum miał, dawał syna zawczasu do obozu, tam już owa wielka fantazya najłacniéj się mogła wyszumieć i wykipieć... najgorzéj wyszedł kto ją chciał hamować, bo często garnek rozsadziła. Opowiadano o Hilarym Piętce, co miał dobra Szeligi w Drohickiém, że syna był dał do nowicyatu do księży Jezuitów i chciał go księdzem mieć... aż ten mu późniéj wrócił do domu, ale żonaty z Węgierką.

Ojciec pana Zygmunta i sam pono za młodu nie był lepszy; szczęściem że trochę wojskowo służył, to się pod zbroją wyłupał i krwi mu trochę puszczono... potém ożenił się z ową Strumiłówną, gospodarzyć zaczął zawzięcie, a resztę ognia na łowach puszczał, bo był istotnie łowczym *de nomine etre*, zawołanym, szczególniéj na wilki, na niedźwiedzie, na dziki i gdzie się czasem oszczepu chwycić trzeba było, passyę do tego wielką miał. Człek zresztą stateczny, w przyjaźni stały, miłosierny, a jak się rozczulił, do rany go było przyłożyć — gdy mu się Zygmuś urodził, że niezmiernie dzieci lubił, to go więcéj może sam na rękach nosił niżeli piastunka, a potém go bawił, kijki mu strugał, dziwów z nim dokazywał.

Raz go, gdy chłopak jeszcze bardzo mały był, zastali jak do snu go kołysał, a no trudno odgadnąć w czém. Na ścianie wisiała zbroja ciężka żelazna, co ją na piersiach husarze nosili. Zygmusia w nią włożywszy, że była wypukła kołysał w niéj i uśpił; miano to za *omen*, iż z niego żołnierz będzie, ale się to nie sprawdziło. Że jedynakiem był dzieciak, ukochanym ojcu i matce, a łowczy podejrzewał iż to tak się rozbuja pewnie jak zwykli Piętkowie, zawczasu dumali i przemyślali jakby go od szwanku salwować. Wszelkiemi środkami i sposoby starali się złagodzić naturę porywczą, żywą, gorącą i uśmierzyć ją a dać mu obyczaje ciche i zamiłowanie żywota spokojnego.

A no już za młodu zaczęło się okazywać, że ten ogień wypalić się musi—Zygmuś dobry był, ale wisus nad lata; nie było dnia gdy się na nogi podniósł, żeby figla nie spłatał i guza nie oberwał, jeszcze mu jeden nie odtęchł, gdy już na drugiego biegł. Trzeba go było pilnować, chodzić za nim, a i tak zawsze się wyrwał. Ojciec bakałarza wziął do domu, który nogi stracił biegając za chłopakiem i do roku nie dotrwał. Drugi zachrypł od krzyku; posłali go do szkół i pod rygor księży, a co się tam działo, naopowiadać się nie mogli. Szkody ojciec płacił co kwartał znaczne, suknie sprawiał, karano pono i bito, ale z tém jak bez tego; jutro się toż samo powtarzało.

Mówili znajomi i przyjaciele: — Przecieżci go we zbroi kołysał, to go do wojska daj.—A no—ojcu się nie chciało jakoś myślał, że się piwo wreszcie wyburzy.

Młodości wreszcie opisywać nie będę.—Łowczy był cięty niebezpiecznie od dzika, i chorzał, obawiał się żeby jedynak, któremu się już naówczas wąs był puścił, nie szalał zbyt długo, i po naradzie z jejmością postanowili go ożenić. A było to także nie łatwe zadanie jaką mu dać żonę, bo lada pokorne stworzenie nie dałoby sobie rady z Zygmusiem, i trzeba mu było dobrać taką *hic mulier*, coby jegomości narzuciła dobre wędzidło i na wodzach trzymać umiała; samą zaś siłą nigdyby go nie mogła pokonać; należało więc szukać i urodliwéj i mądréj niewiasty, co by tego wisusa okiełznała.

Wciąż i ojciec i matka nic nie mówiąc Zygmusiowi, bo by się on ożenić wedle przykazania nigdy nie chciał, po cichu przepatrywali, przepytywali, rozglądali się. Już im o majątek nie szło, ani o świetną kolligacyę, byle co poczciwego, gładkiego i silnego, żeby się mogło postawić Zygmusiowi, a w kaszy mu się zjeść nie dało.

W sąsiedztwie mieszkał szlachcic Okoń Pieńkowski, nie ubogi, nie bogaty, zamożny, pracowity, a obdarzony pięciorgiem dorodnych córek. Dwie już z nich były zamężne, i błogosławieństwo wniosły do domów, trzy zostawały na wydaniu. Matka je wychowywała sama, a była kobieta co się zowie rozumna i wielkiéj woli; z niéj pani łowczyna wymiarkować mogła czém córki były, bo prawie zawsze matka je tworzy na obraz i podobieństwo swoje. Podobał im się dom i ludzie i panny, szczególniéj najstarsza Elżusia i łowczemu i łowczynie. Dziewczyna była jak łania, wzrostu słusznego, zbudowana krzepko,

rumiana, oczki wesołe, śmiała i raźna, piękna na podziw, bo ze wszystkich sióstr krasą się odznaczała; ani blondynka jasna, ani zbyt ciemna brunetka, włosy miała kasztanowate, pozłociste, a warkocze gdyby u królowéj. Przytém rączka i nóżka maluśkie, drobne, zgrabne: słowem, że najwybredniejszy człek nie znalazł w niéj do przyganienia nic, chyba to, że była śmiała jak mężczyzna i gusta miała trochę nie kobiece. Gdyby jéj byli konia pozwolili, pewnieby sobie rady z nim dała; z muszkietu i pistoletów strzelała dla zabawy i takiéj wprawy nabrała, że aż podziwiano celność jéj strzałów; nieraz pono ojcu się do wilka na polowanie wprosiła nawet, o czém w domu mówić nie było wolno. Mimo takiego temperamentu kochali ją wszyscy, bo dobra była jak anioł i do poświęcenia chętna, a dla chorych i dla ubogich ostatnią sukienczynę by oddała; ale za to o pokrzywdzeniu czyjémś, o złych sprawach, o nikczemności ludzkiéj przy niéj mówić nie było można, tak to ją oburzało.... Matka, która u książąt Lubomirskich wychowała się z wojewodziankami razem i była, jak powiadają, i do stroju i do łoju — córki nauczyła potrosze i języków i muzyki i głowy im pootwierała, mieli też potém do nich panią bonę wdowę po oficerze, który był z Leszczyńskim powędrował do Lotaryngii i tam zmarł, kobietę zacną i dworskiego wykształcenia — ta dopełniła co matka poczęła.

Oboje rodzice Zygmusia często bywając u Okóniów, nie mogli się Elżuni napatrzyć — bodaj że przy kieliszku stary łowczy z cześnikiem coś o dzieciach pogadali, ale tego nikt nie dosłyszał. Zygmusia trzeba było do panny tak prowadzić, żeby się nie domyślał, że mu ją dać chciano, boby od niéj uciekł pewnie.



Nie wiem spełna jak do tego doszli, że do Okóniów pojechał i Elżusię zobaczył, a no zrazu mu się nie podobała. Rodzice byli markotni. W zapusty zaprosili do siebie sąsiadów, Zygmusiowi powierzywszy gospodarstwo i przyjęcie, bo do tego był jedyny. Przyjechały i dwie zamężne i trzy jeszcze w domu będące Okóniówny. Elżunia między niemi perłą się wydawała, a nietylko siostry, ale wszystkie inne kobiety gasiła urodą i postacią. Zygmuntowi dopiero się oczy otworzyły, a bodaj i serce. Zabawy nadzwyczaj były wesołe, młodzież sobie dobrze podpiła. Zygmuś Elżuni ani patrzał, ona mu té kwaśnéj miny nie robiła, bo chłopiec był urodziwy, wesół, wygadany, zręczny, a taniec prowadził i wszystkich na podziw zagrzewać umiał, tak że rej miał wszędzie. Już pono pod koniec onych szalonych zapust, w tańcu snadź, gdy nie bardzo na nich uważano, panu Zygmuntowi buziak malinowy Elżuni zasmakował; korzystając z jakiegoś obrotu, schylił się chcąc ją pocałować i piorunem w ucho dostał.

Gdybym państwu powiedział, że to był zadatek przyszłéj miłości obojga, możebyście nie uwierzyli; lecz w istocie tak było że Zygmuś się w niéj od téj chwili szalenie zakochał, a ona też na niego lepszém okiem patrzeć zaczęła, bo miał też rozum, że się nietylko nie pogniewał, ale ją jeszcze z kieliszkiem w ręku na klęczkach przepraszał.

Ostatni dzień zapust u Okóniów spędzono i już tam uważano, że się do siebie mieli, z czego łowczy niesłychanie się cieszył, udając, że tego nie widzi i wcale się nie domyśla.

Czasu postu pod różnemi pozorami wyrywał się do Okóniów, gdzie go jako syna dobrych sąsiadów przyjmowano grzecznie, a nu dosyć chłodno. Elżunia też choć była dlań przyjazną, szczególnych względów nie okazywała. Łowczy na cztery nogi kuty, rzucał umyślnie półsłówkami, iżby nie rad syna młodo żenił. A tu w Zygmuncie się paliło, z każdym dniem owa miłość rosła, niepohamowaną się stając. Zwierzył się matce najprzód. A ta mu przyrzekła, że ojca będzie się starała nakłonić, aby przeciwnym nie był. Jako kobieta rozumna, znając dziecko, nie wydawała się też z tém wcale, iż sobie życzyła Elżuni za synową. Tém rozumném postępowaniem doprowadzili do tego Zygmusia, iż to czego rodzice pragnęli, uczynił z własnéj woli, za najszczęśliwszego się mając, iż mu dano pozwolenie i błogosławieństwo.

W taki sposób się tedy pobrali. Łowczy Panu Bogu dziękował iż syna postanowiwszy i gospodarstwo mu zdawszy, a sobie tylko mały leśny folwarczek zostawił, o jego przyszłości spokojnie zasypiać może. A no jeszcze się był snadź nie wyszumiał dosyć. Z razu wielka miłość była między młodém małżeństwem, tak że o mało Elżuni nie zjadł. Szalał za nią, w domu siedział, gospodarstwa pilnował i mało co nawet wyjeżdżał, chyba do rodziców, albo do Okóniów. Elżunia korzystając z tego przywiązania mężowskiego, zaraz w ręce wzięła domowe sprawy i gospodarstwo i rząd i klucze, ale tak nieznacznie, iż to sobie Zygmunt raczéj za łaskę uważał, niż za krzywdę.

In tractu pierwszych lat pożycia, najprzód łowczyna zmarła, a jak to u nas nader się często między szczęśliwemi małżeństwami trafiało, mąż do niéj dziwnie przywiązany, wkrótce zasłabł, zatęsknił się i poszedł za nią.

Zygmuś też z wielkim żalem po rodzicach, bo serce miał dobre i kochał ich gorąco, sprawiwszy pogrzeb, począł na całym majątku gospodarzyć, a w onym wielkim smutku swoim potrosze się rozrywać. Już to złém było, iż mu żona i dom nie starczyły rozrywką, bo do sąsiadów się wyrywał, do Krakowa jeździł i tygodniami tam siadywał z wesołymi towarzyszami, wreszcie bez potrzeby do Warszawy się wybrał, aby dwór zobaczyć. Król August II właśnie tam naówczas przebywał, a z nim i koło niego kręciło się młodzieży i wojskowych, kobiet pięknych, cudzoziemców, różnych awanturników płci obojéj podostatkiem. Czasy to były opłakane, bo w kraju nieład, a zamieszanie panowało, a w stolicy i u dworu, rozpusta błyszcząca, piękna, strojna i uśmiechnięta.

Młodemu łatwo się było popsuć patrząc na to, a wpadłszy w wir, człowiek się już mimowolnie kręcił. Za piérwszą bytnością Zygmunta w Warszawie, porobił on zaraz znajomości w dworu. Stryja miał na nieszczęście, który z chudego pachołka wydrapał się łaskami saskiemi na urząd dworski i synowca też za sobą do dworu wciągnął. Zygmusiowi nic nie brakło, by się mógł podobać: twarz, postawa, siła, dowcip, humor, przystawały dziwnie do tego kółka. Szalano

okrutnie, ucztowano, bawiono się; nie mógł człowiek tchnąć na chwilę, gdy wpadł między tych dworzan, którzy w najsmutniejszych nawet dniach, gdy się wszystko waliło i wywracało, o maszkarach i balach myśleli. Pierwszy raz do Warszawy zawitawszy, powrócił na wieś do Elżusi jak pijany. Nie mógł się jéj napowiadać o tém co widział, dokazywał, czego był aktorem i świadkiem. Jéj się nie bardzo podobało, ale zmilczała. Zygmuś czuły jeszcze był, spodziéwała się że mu to z głowy wywietrzeje i do dawnego trybu życia powróci. Aliści prawda to wielka, że są takie zatrute nektary, których gdy się człowiek raz napił, już bez nich żyć nie może. Zygmuntowi usta paliło, wzdychał na wsi siedząc do tego życia, którego popróbował, tylko się już z tém nie odzywał wcale, bo żona groźnie nań patrzała i gdy raz nad śpiewaczką Francuzicą, która za królem była do Warszawy przyjechała, unosił się przed nią, opisując jak u niéj wieczerzę jedli i co była za niewiasta cudna, Elżunia nogą tupnąwszy, tak go skofundowała, iż usta zaraz stulił.

Milczenie to jednak kryło w sobie niebezpieczniejsze jeszcze rojenia, jakby się to tam nazad na dwór dostać i szaleć z szalonymi. Osmutniał, chodził ponury, wzdychał, na wsi mu wszystko nie w smak szło, z sąsiadami zaczęli pić na zabój.

W domu Elżunia gościnną być umiała i nie broniła, żeby się podochocili w wesołém towarzystwie; ale ekscesów takich, co i życiu i zdrowiu groziły i na pośmiewisko u służby ludzi poważnych podawały, nie dopuszczała. Przenosili się więc gdy chcieli pić do kawalerskich domów, albo do miasteczka.

Z ALBUMU GROTGERA



CHŁOPIEC NA CHÓRZE

rysował Młodnicki.

Nie obawiała się nałogu dla niego żona, bo Piętka pił w sposób osobliwszy jakby wodę chlipał — do głowy mu nie bardzo szło, a gdy był sam, wina nie potrzebował i nie tknął, upodobania w niém nie miał. Nie zważała więc na te wybryki, będąc pewną, że mu się one uprzykrzą; wolała je, niż owe do Warszawy wycieczki, które mu głowę zawracały. Aż tu nie opowiedziawszy się raz Zygmunt, dmuchnął jéj, pod pozorem jakimś znowu, dowiedziawszy się, że dwór zjechał. Nie było go dwa tygodnie, i pokorniuteńki powrócił. Jak go tam Elżunia tym razem przyjęła, nie wiadomo; snadź wszakże głowę mu zmyła dobrze, bo się kilka dni na siebie boczyli, poczém, jak niepyszny pan Piętka przeprosił uczyniono zgodę i był pokój i życie jak przed tém między małżeństwem przykładne.

Okazuje się jednak, iż Piętka téj dworskiéj zarazy tak był pochwycił, że się jéj pozbyć nie mógł. Nudził się na wsi i ziewał. Próbował łowów, zjeżdżali sąsiedzi, sprowadzano skrzypki, a no te wiejskie uciechy nie w smak mu szły.

Nie było tu tego przepychu, téj świetności za oczy porywającéj, tego języka wytwornego, tych niespodzianek wspaniałych, tego szumu i hałasu i zbytków jak na dworze. Zygmunt sobie to lekceważył porównywając, a przytém ta przeklęta tancerka, która się nim była chwilowo dla jego pięknéj postaci zajęła... w serce mu czy też w głowę obałamuconą wpadła.

(D. c. n.)

STANOWISKO
FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO
W LITERATURZE.

Beatus vir, qui non abiit in consilio impiorum, et in via peccatorum non stetit, et in cathedra pestilentiae non sedit. Ps. I, 1.

Rozgłośny autor *Pamiątek Soplicy*, w jednéj ze swoich rozpraw filozoficznych, arcy uczenie dowodził, że wynalazek druku niewiele się przyłożył do uszczęśliwienia ludzkości; że znakomite dzieła umysłu i bez pomocy druku od niepamiętnych czasów przechodziły z pokoleń na pokolenia; że druk przyczynił się jedynie do upowszechnienia ramot, które przed jego wynalazkiem wieczna niepamięć pokrywała. Wyskok ten niepoślednego zkądinąd talentu nie potrzebuje poważnego zbijania; jest w nim atoli makowe ziarko prawdy: z jednéj strony takie rozprawy jak Rzewuskiego o roli druku w cywilizacyi świata, nigdyby się bez niego nie przedarły do uszu powszechności; z drugiéj, jest dotąd cała literatura obywająca się najzupełniéj bez pomocy drukarskiego czernidła. Mówimy tu o niepisanéj literaturze ludowéj, któréj zaledwo małe okruchy pochwycili dotychczasowi zbieracze, tudzież o pisanéj literaturze zaściankowéj, w któréj nasz śpiewak Justyny niecelniejsze zajmuje miejsce. Nikt go tam nie zna z ksiąg wielokrotnie drukowanych, nikt nie zna z imienia i oblicza; a jednak żyje i żyć będzie pod słomianym dachem zaściankowéj świetlicy, wzrusza i wzruszać będzie prostacze serca pod grubą samodziałową kapotą lub perkalikową sukienką. Czém się to dzieje? gdzie tajemnica takiéj wziętości?

Literatura zaściankowa powstała i utrzymuje się dzięki wyjątkowym warunkom położenia swych czytelników, oraz drogości książek polskich. Szlachcic zaściankowy, którego herby i przywileje częścią ledwo we wspomnieniach pozostały, swobodniejszy do niedawnego czasu od włościanina, więcéj od niego rozmiłował się w płodach umysłowości; powszechniejsza też znajomość czytania i pisania, szerszy niżeli kmieciowi otwiera mu do nich przystęp. Szczupłość jednak rodzinnego zagona dzielonego na coraz drobniejsze kawałeczki w każdém następném pokoleniu, niedostatek rzutkości do przedsięwzięć zyskowniejszych niż uprawa coraz droższéj dzierżawnéj roli lub ekonomowanie w coraz bardziéj wymagającym dworze magnata, wreszcie nieuleczony przesąd zagradzający drogę do pracy rzemieślniczéj w przekonaniach szlacheckich uznanéj za nieszlachetną, pcha go po linii spiralnéj coraz dotkliwszego ubóstwa. Nie zbywa mu na chęci czytania, lecz kupno książek zaspakających poczucia estetyczne, w kilkudziesięciorublowym budżecie rocznym, zgoła pomieścić się nie daje. Co innego gdybyśmy mieli kilku-groszowe wydania wzorowych pisarzy, jak mają Niemcy i Francuzi! lecz tego nie ma i pewno rychło nie będzie. Radzi się tedy jak można. „Kawalerowie", którzy latem pracowali na polu, w zimie przy smolném łuczywie zabierają się do pióra, i w pocie czoła przepisują „teksta światowe", nie wiadomo jak i kiedy zabłąkane na grunt zaściankowy. Pisanie idzie oporem, dłoń spracowana wypowiada posłuszeństwo, pióro zaostrzone jak igła pryska przy najczulszym wyrazie; ale na wszystko jest rada, — i ku wiośnie spory zeszyt starannie chowa się do skrzynki, albo się składa w ukochane ręce bogdanki. W tym ostatnim wypadku zeszyt się pospolicie ozdabia jaskrawo malowanemi girlandami, wśród których czerwone serce z żółtym płomykiem u góry, przeszyte strzałą jak skrzydło w herbie Dołęga, wyraża symbolicznie czego usta wymówić nie śmiały. Tak z zaścianka do zaścianka i z pokolenia w pokolenie snują się ulubione piosenki o Wąsach pokrętnych, o Filonie i Laurze, o Korydonie i Palmirze...

Nie sądźcie jednak, że taki nieukształcony przepisywacz, który przez cztery jesienie i zimy uczył się czytać i pisać, a przez cztery wiosny i lata zapominał wszystkiego, aż w końcu jakoś uwięził naukę w pamięci, — nie sądźcie, iż lada nad czém mozolić się będzie! Już to jedno, że praca wielce zmudna a papier drogi niesłychanie, skłaniać musi do nader pilnego wyboru. Jak się ten wybór odbywa, jakie ścieżki przebiega rozumowanie, czy się nawet po zaściankach rozumuje nad pięknem, tego powiedzieć niełatwo. To wszakże nie ulega wątpliwości, że ocenienie najczęściéj bywa sprawiedliwe, dowodzące wysokiego poczucia piękna połączonego z prostotą, jak je np. widzimy w Karpińskim. Znajdziesz w owych zeszytach literatury zaściankowéj najpiękniejsze pieśni Kochanowskiego, najtkliwsze sielanki Szymonowicza, jeden i drugi wierszyk Kniaźnina, „Pacierz Staruszka" Naruszewicza, ballady Mickiewicza i Odyńca. Znajdziesz uznanie prac niezaprzeczonego talentu, niesłusznie zapomnianych w sferze czytającéj książki drukowane, jak naprzykład utwory Józefa Massalskiego; znajdziesz nawet nigdzie nieogłaszane prześliczne piosnki miłosne lub rycerskie, snadź na niwie zaściankowéj zrodzone. Największą atoli rolę w sielskich schronieniach szlachty i ludu odegrywa Karpiński. Nabożnemi jego pieśniami, drukowanemi w „Złotych Ołtarzykach", brzmią ściany kościołków i chałup wieśniaczych; przepisywanemi jego sielankami i piosenkami tłómaczą się najrzewniejsze uczucia po zaściankach. Nie pytają tam o autora, by odpowiednio do rozgłosu imienia miarkować sądy o jego dziełach; o nazwisku jego jeżeli kiedykolwiek wiedziano, już dzisiaj się nie wie; a jednak ciągle żyje obecny wśród kilku już pokoleń wielbicieli. Témbardziéj zaś uderzać to musi, że za czasów Karpińskiego i po nim byli poeci wyżsi od niego talentem, którzy takiéj wziętości nie dostąpili i może nigdy nie dostąpią.

Kiedy się nad przyczynami tego rzadkiego zjawiska zastanawiamy, widzimy je rozmaite: częścią moralne jak pobożność, szlachetność, tkliwość i szczerość uczucia, częścią zaś artystyczne jak prostota i wdzięk wysłowienia, trafny rysunek i koloryt obrazów, jedno i drugie wprost z ducha i natury swojego kraju zaczerpnięte. Pomiędzy współczesnymi Franciszek Karpiński śmiało rzec można sam jeden był poetą prawdziwie narodowym w dokładném tego słowa znaczeniu; był wskrzesicielem nietylko swojskiéj formy, ale i ducha pieśni, która przez półtrzecia wieku milczała zaklęta w gęśli Jana z Czarnolasu; był protoplastą wielkiego przeobrażenia w literaturze, znanego pod dziwaczną nieco nazwą romantyczności. Niedarmo nita jego pieśni *Filon i Laura* sprowadzała zachwyty poetyckie Mickiewicza: była to pieśń zwiastunka nowego okresu piśmiennictwa, brzmiąca samotnie wśród trzasku przewrotów politycznych i szelestu bałwanów na powierzchni społeczeństwa. Naród jednak wyróżnił tę nótę z pomiędzy krzyżującéj się wrzawy i pieśń do serca przygarnął, a tém samém dał świadectwo o sobie, czém był, co kochał, w co wierzył.

Żaden ze współczesnych Karpińskiego nie był poetą narodowym w takiém znaczeniu jak śpiewak Justyny; byli to „rymotwórcy" posiedzeń czwartkowych, co najwięcéj poeci piankowych sfer towarzyskich, dla przyprawy rozpusty przebierających się za niewinnych pasterzy i pasterki arkadyjskie, co najwięcéj panfleciarze polityczni i satyrycy, nie bardzo wierzący w słuszność sprawy, któréj na zimno bronili. Spojrzyjmy tylko na najcelniejszych. Ów najczystszy pomiędzy nimi, ksiądz biskup warmiński, pisze prześliczne bajeczki i nudne poemata bohaterskie; dosięga szczytu dowcipu kiedy wyśmiewa duchowieństwo, a w jedynéj napisanéj przez siebie modlitwie schodzi do roli najpospolitszego wierszokléty. Ów drugi, biskup łucki, w klęskach publicznych na jęk zdobyć się nie może, a pali sążniste ody na akt udarowania kogoś brylantowym pierścieniem; piorunuje w satyrach na rozwiązłość, a po cichu z zamiłowaniem pisze wierszydła w bezwstydzie prześcigające Owidyusza. Ów trzeci, szambelan J. K. Mości, „Hekla od śniegów siwa," ma zawsze na zawołanie i Bogu świeczkę i dyabłu dwa ożogi; a żeby się co do tego nie mylono, sam własną ręką kreśli swój portret w postaci pieska pokojowego. Ów czwarty, autor chudych *Organów* otrąbionych za arcydzieło, nikomu niby nie pochlebia a ciągle się płaszczy, niby się nie sprzedaje a ustawicznie przymawia się do starostwa lub urzędu. Tacy to byli stojący na świeczniku piastuni myśli narodowéj; cóż za dziw, że przy połysku ich pism i czynów społeczeństwo owoczesne wygląda jako zbiór wyrodków? Było to jednak tylko ich własne społeczeństwo, ale nie społeczeństwo narodu, który po staroświecku strzegł poczciwego obyczaju. Gdybyśmy nic więcéj nie znaleźli w Karpińskim prócz świadectwa o różnicy tych dwojga społeczeństw na jednéj ziemi, jużby zasługa jego była nieoszacowana. *(D. c. n.)*

KRONIKA.

Pragnęlibyśmy kronikę naszą uczynić sprawozdaniem z wypadków zbiorowego żywota— sprawozdaniem, które zdołałoby zająć poważniejsze umysły i wzniecić w przeświadczeniu ogółu zacne postanowienie.

Ideałem naszym jest osnuć najrozleglejszy obszar społeczeństwa telegraficzną nicią wymiany wrażeń,—ażeby każdy czyn, każda myśl i uczucie, wkraczające w zakres publicznego pożytku, odczuwane być mogły w coraz liczniejszych punktach. W ten sposób, odpowiednio skromnemu programatowi naszemu, dołączymy choć jedno ogniwo do łańcucha powszechnéj pracy.

Oczywiście założenie powyższe jest nad siły jednego a nawet kilku ludzi. Odwołujemy się więc do wszystkich, dla których nie jest obojętném dobro powszechne, ażeby dopomagali nam w podjętéj pracy. Każdą wiadomość, nacechowaną donioślejszém znaczeniem, każde słowo, namaszczone miłością bliźnich, powitamy z serdeczném uznaniem.

Najmniéj żądamy wieści o *przepędzaniu* czasu w pospolitém znaczeniu tego wyrazu... Charakterystyczny to wyraz w naszym języku... Gdzieindziéj *idą równo* z czasem, trzymając się usilnie tego towarzysza ziemskiéj wędrówki, a nawet uprzedzają go zapobiegliwie. Gdzieindziéj znowu *używają* czasu... Niestety! w naszéj mo-

wie i *używanie* stało się synonimem marnego trwonienia życia,—a *przepędzanie* udaje się... czas ucieka!..

W oczekiwaniu bratniego zasiłku zmuszeni jesteśmy poprzestać na treści miejscowéj.

Treść ta zawiera się w kilku wyrazach: bezład i panoszące się ubóztwo.

Odmęt w pojęciach, rozprzężenie gospodarczego bytu, —oto są rysy naszego żywota. Majątki większych właścicieli ziemskich, w braku kredytu i dzięki podaniowéj lekkomyślności, wiszą na włosku. Pomimo to większość żyje nad stan. Jaśniejszą stroną tego obrazu jest wzrastająca zamożność ludu.

Bodajby tylko z drogi jego usunęły się dwa widma straszliwe: ciemnota i pijaństwo, bo tuż po za niemi czyha usłużna lichwa, a daléj stoi wywłaszczenie. Wiadomo jak łatwo drobna własność wymyka się z rąk nieoględnego posiadacza. Przed kilku dniami donoszono nam z Pruss, że i tam zdarzają się coraz częstsze sprzedaże przymusowe małych posiadłości ziemskich, w skutek czego mnóztwo drobnych właścicieli rolników znalazło się w nędzy.

Nie wszystko więc i nie wszystkim jest źle... Zamożnieje, choć zwolna lud; stokroć chyżéj potężnieje wpływ kapitału. Czynnikowi temu przeważnie posługiwać będą i owe stowarzyszenia i banki owe i wspólki, o których słyszymy codziennie. Pożądaną byłoby rzeczą, ażeby część zysków spłynęła na pracę wyrobniczą.

Potrącając ten przedmiot dalecy jesteśmy od krain utopii i ogólników zuchwałych. Oddawna już w Niemczech i w Anglii zawiązują się stowarzyszenia kapitału i pracy na drogach prawno-ekonomicznych. Bogate i liczne fabryki przechodzą na wspólną własność przedsiębierców i robotników. Jeden z ministrów pruskich (Itzenplitz), w liście ogłoszonym przed kilku laty w pismach publicznych, upatruje w faktach powyższych jedyny środek uniknienia wstrząśnień przemysłowych w przyszłości. Libelt doradzał urzeczywistnienie téj samej myśli w gospodarstwach rolniczych. Nic więc nowego nie mówimy. Nauka i doświadczenie dają w téj mierze nader budujące wskazówki. Nadto z lepszą niż dotąd wolą powinniśmy pomyśleć o kassach wsparcia, o bezpłatnych wykładach technicznych, o słusznych tantiemach, o towarzystwach wzajemnéj pomocy i t. d.

Domowe wychowanie nasze źle nas sposobi do pracy. Znaczna część młodego pokolenia kształci się systematycznie na rozpieszczonych nieuków, bez surowego poczucia obowiązków i praw, bez karności moralnéj, bez najpotrzebniejszych w życiu wiadomości. Niedawno w sprawie téj podniosła słuszny głos Gazeta Warszawska: „Trzeba się uczyć, bo nauka to siła, to potęga moralna i materyalna, to osobista niezależność, to życie; bo ciemnota, to słabość, to zbrodnia, to nędza i wieczna zależność.“

Od kilku lat towarzystwo nasze spoważniało pozornie. Przypatrując się jednak baczniéj owéj powadze, dostrzegamy w niéj cechy jakiejś starości szpitalnéj. Nie ma tam ani energii męzkiéj, ani postępowéj rzutkości do ideału, co jak gwiazda przewodnia świeci każdéj potędze młodéj. Jest to raczéj zżymanie się na szczupłą porcyę kliniczną, garnienie się do ciepłego kominka, oprzykliwa obojętność na cierpienia otaczających. To najsmutniejsza, że rys ten zgrzybiałości moralnéj zaczyna się ukazywać i na obliczu młodzieży. Nie mówiąc już o miejskich i powiatowych lalkach, o bezdusznych *gandin'ach* i posagowiczach, znieweleni jesteśmy wyznać, że zaplecśniały egoizm, dziecinna zarozumiałość i stara blaga zjawiają się tam nawet, gdzie zwykliśmy upatrywać źródło życia i szlachetnego zapału. Pocieszamy się myślą, że nie winien tu ogół młodzieży, lecz garstka samochwalców, wojujących pod jego sztandarem. U ludzi tych z pod maski nauki i pracy, raz po raz wybucha cyniczny śmiech szarlataneryi i płaskiéj zawiści. Niepodobna jest wdawać się w spór poważniejszy z ludźmi, których słowa są tylko dźwiękiem bez treści. Stającego do walki z nimi czekałoby odczarowanie Don-Kichota, który przedarłszy chmurę kurzawy, zamiast zbrojnych zastępów ujrzał przed sobą—owce.

Warszawa, jak zawsze, pusta i rzewna, zalotna i miłosierna. Wiele jéj przebaczono będzie, gdyż wiele kocha. Trudno byłoby znaleźć miasto, które w stosunku do zamożności swojéj wydawałoby tyle ile Warszawa na dobre uczynki. Codzienne ofiary dla nędzy, ogłaszane w pismach miejscowych, prelekcye i koncerta na korzyść niezamożnéj młodzieży, bazary i t. d. dowodnie świadczą o poczciwych popędach towarzystwa. Wielka szkoda, że często najważniejszy cel usuwa się na plan podrzędny, na pierwszym zaś błyszczą zabawa i popis, pochłaniające, jak Saturn, własne potomstwo.

Mieliśmy w grudniu dwa pogrzeby, uświetnione niepospolicie licznemi orszakami. Warszawa uczciła w ten sposób pamięć pułkownika Popławskiego, ojca sierot, i Zofii Odyńcowéj, małżonki znakomitego pisarza. Zauważano, że obadwa orszaki składały się przeważnie, a może i wyłącznie, z ludzi pokolenia starszego.

Literatura nasza w ubiegłym roku nie wiele wydała książek prawdziwie poważnych. Kilka dzieł niewątpliwéj wartości w przedmiocie nauk ścisłych (Wagi Historya roślin, Pietkiewicza Meteorologia), kilka książek treści ekonomicznéj i nawał powieści—otóż i wszystko prawie. Wydania dzieł dawniejszych i kilka pamiętników rozjaśniających niezbyt odległą przeszłość uzupełniają zeszłoroczny nabytek. Prassa peryodyczna warszawska wydaje na rok bieżący nowe latorośle; prassa prowincyonalna—Kaliszanin, Kuryer Lubelski, Gazeta Kielecka—tak pożyteczne dla świadomości potrzeb miejscowych, doznają tylko obojętności publicznéj.

Spodziewamy się uczynić naszym czytelnikom przy współdziałaniu następującą kronikę weselszą i zasobniejszą.

BIBLIOGRAFIA.

Pamiętniki Seweryna Bukara. Drezno. 1871.— Autor, spółczesny a nawet spowinowacony z Janem Duklanem Ochockim, opowiada wypadki własnego i publicznego życia ze schyłku XVIII wieku—epoki społecznego rozkładu, odurzającéj się mętami orgij i starą butą. Wielka jednak zachodzi różnica pomiędzy Bukarem i Ochockim. Ten uważa się za bohatera na tle wypadków, które w oczach potomnych strącają go na stopień *petit-maitre'a* i pasożyta: Bukar zaś usuwa się ogłędnie z pierwszego planu i pozostaje zawsze człowiekiem uczciwym; pomimowoli tylko świadczy o ogólném usposobieniu ówczesném traktując sprawy publiczne anegdotycznie, drobiazgowo i dając do zrozumienia, że było to *il tempo felice*. W każdym razie *Pamiętniki Bukara* zajmą dosyć wybitne miejsce w szeregu materyałów do historyi obyczajów spółczesnéj autorowi epoki. Najbardziéj zajmujące są szczegóły miejscowe i familijne. Z początku autor nie wpada na tor właściwy i dla tego wydać się może pisarzem niezręcznym; wkrótce jednak przybrawszy charakter anegdotyczny, dobrze uiszcza się ze swego założenia. Ponieważ Bukar nie próżnował w Warszawie (jak szanowny jego kuzynek), a uczył się w korpusie kadetów, mało więc w pamiętnikach jego znajdziemy szczegółów z towarzyskiego życia stolicy, a jeżeli są jakie, to powtarzane ze słyszenia. Z kategoryi téj wyłączyć należy ciekawy ustęp o wychowaniu szkolném. Po wejściu autora w zawód obywatelski, opowiadanie jego nabiera wartości historycznego materyału.

Czy ludzie od małp pochodzą? przez Romualda Świerzbieńskiego. Warszawa. 1871.—Autor, zbrojny procą Dawida, wystąpił na harc z olbrzymami biologii tegoczesnéj—Darwinem i Haeckelem. Na nieszczęście rezultat biblijny nie powtórzył się. Dowodzenia autora sprowadzają się do aforyzmów sypanych bez najmniejszego ładu i popartych jedynie wykrzyknikami, np. Czyż Hegel pochodzi od pająka?!... Czyż Fichte ma co wspólnego z rakiem?... Czyż pchły nie tak samo kąsały piękne Rzymianki jak teraźniejszych Germanów? i t. d. Broszurę wieńczy heglowski pogląd na dzieje ras ludzkich i dziarska wycieczka przeciwko zwycięzcom Napoleona III. I jakaż jest myśl autora?... P. Świerzbieński proponuje „wszystkich lwów—tak ludzi, jak nie ludzi, wszystkich lisów wilków i innych drapieżników wywieść od pierwotnéj modły lwa, wilka, lisa—modły co tkwi w myśli Boga, Ojca przedwiecznego.” W innéj kategoryi autor mieści sowę, ćmę i nietoperza, w innéj Katona Utyckiego, Rejtana i Skorpiona i t. d. Pan Ś. ani domyśla się, że nauka oddawna już rzuciła grunt dogmatyczny a nawet z pola metafizyki pozdejmowała namioty swoje.

Pamiętniki Beniamina Franklina. Warszawa. 1871.—„Pan Bóg stworzył człowieka na obraz swój. Tyle milionów co chwila to powtarza, ale jak mało jest ludzi co by tę prawdę pojęło! Oto żywot człowieka, który nie tylko te słowa zrozumiał, ale życiem dowiódł że miał wolę i został człowiekiem na obraz Boga stworzonym. Czytelniku! buduj się i powołanie swoje zrozumiéj!” Temi słowy zagaja tłómacz poczciwą swą pracę. Pamiętniki Franklina ubogie są pod względem treści wypadkowéj, lecz odznaczają się potęgą ducha i mnóztwem wskazówek moralnych, które każdemu przydać się mogą. List do syna Williama, rządcy prowincyi New-Jersey, pisany w 1771 a sześćdziesiątym piątym roku wieku Beniamina, stanowi pięć pierwszych rozdziałów Pamiętnika. Autobiografia dochodzi w nich do r. 1730. Dalszy ciąg przedsięwziął autor w 1784 w Passy pod Paryżem. Franklin był prezbyteryaninem, lecz przedewszystkiem wierzył, że każda pomoc bliźniemu i każdy dobry uczynek jest sprawą człowieka najmilszą Bogu. Ogólne sekt poszanowanie i przekonanie, że każda religia jakąś cząstkę dobra na człowieka zlewa, nie pozwo-

liło mu ganić zasad jakiegokolwiek wyznania, lub też odprowadzać drugich od ich religijnych przekonań. Założeniem całego życia jego było moralne udoskonalenie siebie i zaszczepienie w sobie trzynastu cnót: wstrzemięźliwości, milczenia, porządku, stanowczości, oszczędności, pracy, szczerości, sprawiedliwości, umiarkowania, czystości, spokojności, niewinności i pokory. Pamiętniki kończą się rokiem 1757. Dołączone są do nich listy Franklina i dziennik podróży jego z Anglii do Ameryki r. 1726.

ROZMAITOŚCI.

— Kierowanie balonami, owo marzenie ludzkie dotąd pomimo licznych usiłowań nie ziszczone, zdaje się nareszcie wchodzić w fazę rzeczywistości. Inżynier wojskowy moguncki Holbein, zbudował model dość znacznéj wielkości, poruszany za pomocą szruby wprawianéj w ruch motorem gazowym.

Próby nowego wynalazku odbywały się przed kilku tygodniami w Wiedniu w obec arcyksiążąt i wszystkich officerów sztabu głównego. Model kierowany mógł być dowolnie we wszystkich kierunkach oraz wznosić się i opadać z prędkością 36 stóp na sekundę. Jest to szybkość odpowiadająca naszym pospiesznym pociągom ubiegającym 5 mil na godzinę. Szybkość ta dozwala modelowi poruszać się pod wiatr nawet dość silny. Dodać trzeba, że w miarę powiększania wymiarów balonu, jego siła wznoszenia rosnąć będzie w stosunku sześcianów a opór tylko w stosunku kwadratów średnicy. Można zatém zbudować balon, który oprze się nawet burzy. Motor gazowy znany jest zapewne czytelnikom. Ruch w nim polega na zapalaniu wybuchającéj mieszaniny gazu oświetlającego lub wodoru z powietrzem, kolejno z obu stron tłoka. Osobnego zbiornika gazu przy motorze tym razem nie potrzeba, jest nim bowiem sam balon. Zużywanie gazu jest bardzo nieznaczne, balon więc nie traci siły wzlotu, zresztą w miarę wznoszenia się w górę, gaz w balonie rozszerza się zawsze i wypływa umyślnym otworem u dołu. Motor zatém żywi się właściwie tylko resztkami gazu, któreby inaczéj bezużytecznie wydostały się na zewnątrz.

Próby wypadły tak korzystnie, że świadkowie ich przyznają jednomyślnie, że wielkie zadanie kierowania balonami uważać należy już za rozwiązane. Obecnie próby wiedeńskie mają być powtórzone w Moguncyi i Berlinie.

Wobec ważności balonów w wojnie, wątpić nie można, że wynalazek szybkie znajdzie poparcie i rozwinięcie, jak na to zasługuje.

— W wyszłym niedawno tomie I Pamiętnika Towarzystwa Nauk ścisłych w Paryżu pomieszczone są pomiędzy innemi prace: Władysława Gosiewskiego (O funkcyach jednorodnych i jednogatunkowych i o sprężystości ciał jednorodnych); Wawrzyńca Żmurki: Przyczynek do teoryi największości i najmniejszości funkcyj wielu zmiennych. Adolfa Sągajły rozbiór krytyczny dzieł G. H. Niewęgłowskiego, oraz trzy prace Wł. Trzaski z dziedziny czystéj matematyki.

— Kamil Flammarion autor głośnego dzieła p. n. Wielość światów zamieszkanych, wydał obecnie u Hachetta w Paryżu nową pracę p. n. „l'Atmosphere.“ Jest to owoc długich studyów i spostrzeżeń autora w czasie kilkakrotnie przez niego odbywanych podróży balonowych. Flammarion użytkował też ze spostrzeżeń Silbermanna meteorologa w College de France. Dzieło ozdobione jest przeszło trzemaset drzeworytami i chromolitografiami.

— Dr. Mädler znany astronom, b. dyrektor obserwatoryum dorpackiego, wydaje obecnie nowe dwutomowe dzieło p. n. „Geschichte der Himmelskunde.“

— W Berlinie zaczęło od 1 Stycznia r. b. wychodzić pismo p. n. „Die Gefiederte Welt” pod redakcyą d-ra K. Russa przeznaczone dla miłośników ptaków. Kierunek pisma ma być przeważnie praktyczny.

— W uniwersytecie oksfordzkim profesor Ralston miewa odczyty o pieśniach słowiańskich. Autor, jak słyszeliśmy, obiecał nadesłać je jednemu z professorów tutejszego uniwersytetu.

— Angielski uczony Serjeant Cox, ma w krótce wydać dzieło p. n. „Spirytyzm badany przez naukę,” w którem dowodzi, że zjawiska tak zwane spirytystyczne są natury psychicznéj.

TYPY Z GUBERNII SIEDLECKIÉJ
Władysława Dmochowskiego.



Nr. 1. Umyślny posłaniec.

— Od nowego roku ma wychodzić w Bombay miesięczna publikacya p. n. „Indian Antiquary,” któréj zadaniem ma być ułatwienie stosunków naukowych pomiędzy Europą i dalekim Wschodem. Przedmiotem artykułów nowego pisma będą: starożytności, historia, geografia, literatura, religia, mitologia, historya naturalna etnografija i pieśni ludowe dotyczące krajów. Wszystkie te działy obrabiane będę odnośnie do Indyi i krajów okolicznych.

— Na rocznem posiedzeniu Royal Society (Towarzystwo naukowe angielskie) przyznano medal Copleya uważany za najwyższy zaszczyt naukowy — professorowi Robertowi Mayerowi w Heilbronnie. Nazwisko tego uczonego nie jest tak powszechnie znane jakby na to zasługiwało. Mayer jednak pierwszy zrozumiał związek ruchu organicznego z pożywieniem i wyznaczył tak zwany mechaniczny równoważnik ciepła, co posłużyło następnie za podstawę do całéj nowoczesnéj fizyki i wielu innych nauk.

— Pożar w Chicago zadał ciężką klęskę wielu towarzystwom ubezpieczeń. Pomiędzy innemi towarzystwo „Imperial” ma zapłacić 900,000 dollarów, „North british” i „Mercantille“ po 2,700,000 dollarów. „International” 800,000 dol. Dwa zaś towarzystwa mianowicie „Tetua” i „Home” wypłacić moją wynagrodzeń aż po 6 milionów dollarów. Niektóre towarzystwa jak „Pacific” i „Accidental” tracą w skutek tego pożaru cały kapitał zakładowy i rezerwowy. Naturalnie że wiele towarzystw jest ze wszystkiem zrujnowanych.

— Dziennik gazowy paryzki (Jour. de l'eclairage au gaz) donosi że zdołano za pomocą pewnego chemicznego działania naftę przemienić w stałe skrzepłe ciało, która przy zapaleniu nie topnieje. Może więc znowu wrócimy do świec, téj najdogodniejszéj i najprostszéj zarazem formy oświetlenia domowego.

— Gounod pracuje nad nową operą p. n. „Poliekt” Dzieło to ma być wystawione w wielkiéj operze paryzkiéj. Autor zamierza wykonanie główněj roli powierzyć jednemu z amatorów śpiewu mało dotychczas nawet znanemu w kołach muzycznych. Przyjaciele kompozytora lękają się z tego powodu o los opery.

— W początkach miesiąca października r. z. nastąpiło jednocześnie otwarcie kolei żelaznéj z Tarnopola w Galicyi do Podwołoczysk w gubernii Wołyńskiej, i z Podwołoczysk do Żmerynki. W skutek tego koleje galicyjskie zyskały połączenie z Kijowem i Odessą. Obecnie na tych nowo otwartych liniach panuje ogromny ruch zbożowy do Odessy, tak że okazuje się nawet brak wagonów.

— Od dnia 13 stycznia (1-go v. s.) przybędzie nam pewna nowość, mianowicie listy otwarte wprowadzone razem z nową ustawą pocztową obowiązującą od tego czasu w Cesarstwie i Królestwie. Listy owe będą podobne do rozsyłanych przez redakcye pism peryodycznych tak zwanych listów zwrotnych prenumeracyjnych. Będzie to półarkusik papieru listowego, na którego jednéj stronie pisać się będzie adres, a na drugiej list. Kartki takiéj napisanéj piórem lub ołówkiem nie pieczętuje się wcale, a opłata od przesłania jéj na prowincyę wynosi połowę zwykłéj, zatém 5 kopiejek tylko. Ciekawa rzecz o ile nowy ten rodzaj korespondencyi znajdzie sobie zwolenników.

— We Lwowie zawiązały się niedawno dwa towarzystwa produkcyjne mianowicie rękawiczników i krawców.

— Od bieżącego nowego roku zaczyna w Krakowie wychodzić Przegląd lekarski z dwutygodnikiem hygieny publicznéj. Redaktorami tego pisma naukowego mają być doktorwie Janikowski, professor uniwersytetu Jagielońskiego, i Lutostański, członek komisyi Sanitarnej miasta Krakowa.

— We Lwowie otwarta została szkoła leśnictwa.

— Angielska firma księgarska Messes, Trübner et Comp. wydała niedawno katalog grammatyk i słowników główniejszych języków i narzeczy. W katalogu tym reprezentowanych jest przeszło 250 języków. Wszystkie dzieła uporządkowane są podług alfabetu. Jest to pierwszy tego rodzaju katalog.

— W Paryżu umarł niedawno Mikołaj Turgeniew, autor dzieła „La Russie et les Russes“ w 84 roku życia. Z tego powodu wiele dzienników francuzkich i angielskich błędnie doniosło o śmierci Turgieniewa znanego powieściopisarza.

— Professor geologii Czermak przedstawił wiedeńskiej akademii nauk badania mikroskopowe skał ogniowych w Adenie przez p. M. J. Niedźwiedzkiego.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 18 (30) Декабря 1871 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand. Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni pod firmą S. Orgelbranda, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.